Nr. 1 Lwów, 1. stycznia 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

NA ROK NOWY.

Podług zwyczaju, zaczynając ten rok dwudziesty siódmy naszego wydawnictwa, przesyłamy naszym szanownym czytelnikom i współpracownikom życzenia szczęścia i pomyślności.

Jak z dorocznych sprawozdań i z protokołów posiedzeń widoczne, Towarzystwo rozwija się prawidłowo, chociaż w tempie stosunkowo powolnym. Szybszy rozwój przyczyniłby się niewątpliwie do poparcia naszych żądań wobec kraju, któremu składamy specyalny podatek łowiecki w formie opłat za karty łowieckie, a od którego nie otrzymujemy tyle pomocy, ile jej się łowiectwu, jako jednej z gałęzi gospodarstwa krajowego, należy.

Wydział Towarzystwa czyni wszelkie starania celem uzyskania tej pomocy — stadyum, w którem się sprawa ta znajduje, nie nadaje się jednak do omawiania szczegółów. W należytym czasie zdamy szczegółową relacyę z kroków Wydziału w tej sprawie podjętych.

Zwracamy uwagę naszych czytelników na tegoroczną rozprawą sejmową w sprawie wniosku posła Żardeckiego o zmianę ustawy łowieckiej, której druk w tym numerze zaczynamy, a z której czytelnicy nasi osądzą, z jakimi prądami ma Wydział Towarzystwa do walczenia.

Wycieczka na Sybir.

Jako nadleśny w dobrach Piszczowskich, należących do hrabiego Józefa Potockiego, zarządzam również wielkim zwierzyńcem „Pilawin“ założonym przez J. W. właściciela temu lat kilka, w tym najbardziej na północ wysuniętym kluczu z rozległych włości Wołyńskich hrabiego Potockiego. — Nazwisko mego pracodawcy zanadto jest znanem w szerokich kołach myśliwych i podróżników, bym potrzebował przypominać śmiałe jego wyprawy na Wschód daleki i do mało znanych krain Czarnego Kontynentu; zamiłowanie do przyrody. łowiectwa i hodowli szlachetnej zwierzyny, dało hrabiemu Potockiemu myśl założenia w naszym kraju, na wzór słynnego parku księcia Bedford w Anglji, zwierzyńca na wielką skalę, w którymby mieściły się oprócz okazów rzadkiej fauny naszego kraju również egzemplarze egzotycznej zwierzyny z obcych kontynentów.

Łosi dostarczyła Litwa i północne gubernie cesarstwa, za pośrednictwem światowej firmy Hagenbecka w Hamburgu sprowadzone zostały z Ameryki pyszne jelenie kanadyjskie „Wapiti“, (Cervus Canadensis Wapiti), a ja otrzymałem od hrabiego Potockiego polecenie nawiązania stosunków z Sybirem, celem dostania ztamtąd ciekawych okazów wspaniałego jelenia „Maral“ i mało znanej sarny sybirskiej (Pygargus uralensis).

Z wiosną 1903 r., wskutek ogłoszeń w rosyjskich pismach łowieckich, otrzymałem ze Syberyi Irkuckiej i Jenissejskiej gubernii liczne oferty sprzedaży rozmaitej zwierzyny tamtejszej, jak łosi, niedźwiedzi, jeleni, sarn, a nawet burych i czarnych lisów i soboli. Zawiązałem korespondencyę i niebawem otrzymałem obszerne odpowiedzi i relacye, które zakomunikowałem bezzwłocznie hrabiemu Potockiemu do decyzyi. W sierpniu otrzymałem od J. W. właściciela rozkaz podjęcia samemu wyprawy na Sybir, celem nabycia dla „Pilawina“ jeleni altajskich (Cervus canadensis asiaticus, vel cervus maral) i sarn sybirskich.

Radość moja z tego powodu była wielką, oddawna marzyłem o wycieczce do mało znanych i dzikich krajów, a cel łowiecki mej wyprawy dodawał jej niemało powabu i uroku; łatwość komunikacyi wskutek nowo zbudowanych kolei sybirskich odejmywała jej cechę uciążliwej i zbyt długiej podróży, mogłem łatwo obliczyć czas jej trwania i należycie się przygotować.

Uregulowawszy czynności służbowe, wyruszyłem w drogę 15. sierpnia 1903 r. ze stacyi Szepetówka, biorąc bilet wprost do Krasnojarska na Kijów, Woroneż, Tambów i Penzę; — wziąłem ze sobą jednego z gajowych z lasów Piszczowskich, Bielawskiego, dla pomocy przy transporcie zwierzyny.

Od Kijowa krajobraz dla mnie był nowy, spędzałem dnie u okna wagonu ,oglądając coraz to nowe widoki, zmieniające się szybko jak w kolejdoskopie i nieznane mi okolice: zdala na widnokręgu ciemny pierścień lasów, ponad torem grupy młodników i wszędzie ponura jednostajna płaszczyzna; wsie rozległe, domy niedbale budowane, smutny wygląd mające, bo nie bielone, sadyby bez drzew i ogrodów, bez ogrodzeń, inwentarz żywy wprawdzie rosły, ale chudy i źle utrzymany — całość ponuro i smutnie wygląda.

Trzeciego dnia podróży stanąłem w Penzie i tu wypadło mi całą dobę przesiedzieć oczekując na „express sybirski“, dążący z Moskwy do Irkucka. Użyłem dnia na zwiedzenie miasta gubernialnego, pięknie położonego nad rzekami Penzą i Surą, ładnego parku przy szkole ogrodniczej i dużego ogrodu owocowego; nabyłem tu również aparat fotograficzny. Następnego dnia t. j. 19 sierpnia „Sybirski express“ na północny wschód mnie unosił. Towarzystwo w tym nader wygodnie urządzonym pociągu składało się z 16 osób, z których kilku panów i pań jechało z Ameryki przez Londyn i Moskwę do Tienstin w Chinach, reszta pasażerów do rozmaitych miast Syberyi.

Nazajutrz przejechaliśmy Wołgę pod Syzraniem, zdążyli wzdłuż lewego jej brzegu do Samary i tu opuściwszy brzegi tej największej rzeki europejskiej, wjechaliśmy poza Ufą, miastem malowniczo położonem, na rzekę tej samej nazwy, w jednostajną płaską okolicę, u której widnokręgu błyszczały w promieniach wschodzącego słońca ledwo dostrzegalne kontury gór uralskich.

Pociąg nasz począł się nieznacznie wspinać, potem piąć coraz wyżej, dając oku możność napawania się coraz to piękniejszemi widokami przecudnych dzikich krajobrazów i. wspaniałych lasów jodłowych.

Od Czelabińska byliśmy w Azyi! Stąd zaczyna się właściwa linia kolei sybirskiej, Ural już jest za nami, przed nami step bezbrzeżny, zarosły wysoką trawą i piołunem, gdzieniegdzie kępy brzóz, pustynia jednostajnna bez sadyb i ludzi ciągnie się aż poza Omsk o 900 wiorst odległy. Jedynie nad rzekami Tobol, Irtysz i Ob wre życie i koncentruje się handel wymienny między daleką Syberyą i Rosyą europejską.

Nad rzekami osady wyrastają jak grzyby po deszczu np. na prawym brzegu Ob, gdzie przed kilku laty dla budowy mostu kolejowego urządzono tymczasowe warstaty i szałasy dla robotników, dziś powstala osada, mająca kilkaset domów piątrowych murowanych, kilkanaście tysięcy mieszkańców, telefony, — kilka banków ułatwiające olbrzymie obroty handlowe, hotele i t. p. Osadę tę nazwano „Nowonikołajewsk“.

Od stacyi Kainska znów zmiana krajobrazu; zamiast stepu, ciemne bory i głuche lasy, ciągną się po pod samym torem kolejowym aż do Krasnojarska i hen aż pod Irkuck; przeważa w nich jodła, cedr i świerk.

Na stacyi Ob spotkałem ku wielkiemu wzajemnemu zdumieniu, jednego z moich dawnych kolegów — pracowników z dóbr hrabiego Potockiego, pana Pawłowskiego, byłego leśniczego podwładnego mi rewiru, który zabrany do służby wojskowej, aż tu ją odbywał, a obecnie znajdował się w pochodzie nad Amur. Zaiste dziwne spotkanie i losu zrządzenie, aby dwóch ludzi, służących w jednym skarbie, istnym trafem losu zjechała się na małej stacyjce olbrzymiej kolei sybirskiej; prócz wyrazów pozdrowienia i okrzyku wzajemnego zdumienia, nie było czasu do gawędy, mój express ruszał w dalszą drogę, jego pociąg wojskowy unosił na Wschód najdalszy.

Nareszcie jedenastego dnia podróży, stanąłem u jej celu t. j. w Krasnojarsku w stolicy gubernii jenissejskiej; miasto, aczkolwiek nie brukowane, wydało mi się dosyć czyste i porządnie zabudowane o szerokich ulicach, skwerach, placach i ogrodzie.

Zajechałem do hotelu „Rossya“, urządzonego zupełnie po europejsku, z nowożytnym komfortem, tylko ceny w nim bajecznie drogie; w restauracyi spotkałem rodaka, niejakiego pana Korotkiewicza z Wołynia, pełniącego obowiązki urzędnika sądowego w miejscowym trybunale, który nader uprzejmie się mną zaopiekował, a że nadto łączyły nas wspólne znajomości na Wołyniu, przeszedł mi w jego towarzystwie pierwszy dzień w Krasnojarsku nader swojsko i przyjemnie na zwiedzaniu miasta, spacerze do ogrodu

miejskiego i poznaniu kilku osób z polskiego towarzystwa. Różnica zegaru w Krasnojarsku w porównaniu z czasem europejskim wynosiła 5 godzin.

Nazajutrz pomny celu, dla którego tu przybyłem, zająłem się odszukaniem człowieka, który mi listownie był zaofiarował zwierzynę na sprzedaż. Posłaniec, którego doń wilią wysłałem, doniósł mi, że go dopiero wieczorem w domu zastanę i odnalazłem go też istotnie; niestety okazało się, iż na razie miał tylko jednego jelenia Maral u siebie, resztę zaś t. j. 3—4 sztuk oddał na letnią paszę na wieś i przed kilkoma dniami mi ich dostawić nie może; na Syberyi zaś dystanse na setki wiorst liczyć należy, nie mogłem zatem liczyć na szybkie załatwienie interesu; umówiłem się tylko o cenę jelenia, którego miał „na składzie“.

Tymczasem dowiedziałem się, że w jakiejś wsi o 10 wiorst od miasta na drugim brzegu Jenisseju, trzy żywe jelenie są na sprzedaż, udałem się tam, lecz pokazało się, że to są nie jelenie, ale renifery zaprzęgowe, których nie potrzebowałem; wycieczka moja jednak miała o tyle dobry skutek, że w drodze zasięgnąłem informacyi, iż wzdłuż Jenisseju na południe od miasta w odległości paru set wiorst można z łatwością nabyć jelenie „Marale“.

Ułożywszy sie z moim handlarzem zwierzyną wyruszyliśmy nazajutrz raniuteńko statkiem do Minusińska. Nie dojechaliśmy jednak do owej miejscowości, dowiedziawszy się po drodze, że w bliższych osadach są jelenie i sarny na sprzedaż.

Po wielu trudnościach, zabiegach i staraniach udało mi się nareszcie nabyć w okolicach Krasnojarska 3 jelenie Maral i trzy sarny sybirskie, z których dwa byki i jednę łanię Maral i dwa rogacze i jedną kozę pygargus. Winien jestem wytłumaczyć tutaj względną łatwość dostania jeleni Maral w tej części Syberyi; otóż tuziemcy łapią, trzymają, a nawet hodują Marale dla rogów, które o pewnej porze roku obcięte i w odpowiedni sposób na proszek zmielone stanowią cenny środek leczniczy, mający olbrzymi pokup w sąsiednich Chinach u bogatych Chinczyków.

Rogi sprzedawane bywają na wagę, a wyrośnięta para dochodzi wysokiej stosunkowo ceny 150—200 rs.; odpiłowują je w czerwcu, gdy są jeszcze miękkie i przed dalszem preparowaniem zanurzają w gorącym rozczynie soli. Nieraz spotkać można całe zagrody zwane „maralnikami“, w których trzymają jelenie i hodują je dla rogów, — łapią je zaś, jak w ogóle wszelką zwierzynę na Syberyi w doły wykopane przez fachowych myśliwych, zwanych „przemysłowcami“, w głębokich ostępach dzikiej tajgi na przesmykach przez jelenie uczęszczanych.

(Dok. nast.)

Słowo o tropowcach i wyżłach jako tropowce używanych.

Śledzenie postrzałka jest świętym obowiązkiem łowca i jednem z głównych myśliwskich przykazań. Dziwić się zaiste należy, jak wielu lekceważy sobie to przykazanie i często nie zadaje sobie nawet trudu, by pójść na trop i przekonać się naocznie o rezultacie strzału! Dziwić się także należy, jak ogół nasz łowiecki mało sobie ceni wartość psów tropowców i jak nie zdaje sobie sprawy z nieodzownej konieczności rozporządzania nimi wogóle a szczególnie tam, gdzie chodzi o grubego, szlachetnego zwierza. Rezultatem tego jest to, że dziesiątki jeleni przepadają rok w rok u nas w czasie rykowisk. W Niemczech i krajach podalpejskich prawdziwy „Waidmann“ nie wybierze się na „Hochjagd“, nie mając tropowca pod ręką, bo jego etyka łowiecka mu nie pozwala, żeby jeleń postrzelony przez niego przepadł! Nie potrzebujemy kochać naszych wschodnich sąsiadów, ale szanować ich jako myśliwych musimy jak i przyznać, że kulturę łowiecką postawili u siebie na tym stopniu, na jakim nigdzie w Europie nie stoi. Zaprzeczać temu byłoby negowaniem faktu i śmiesznym szowinizmem z naszej strony. Tam szczególnie, gdzie chodzi o łowy na szlachetnego zwierza, przodują Niemcy całemu światu, dużośmy się od nich już w tym względzie nauczyli — uczmy się i dalej! Tam u nich nie ma, powtarzam, „Hochjagdu“ bez tropowców, bo stratę szlachetnego postrzałka uważają za grzech łowiecki i grube zaniedbanie przepisów myśliwskiego savoir-vivre'u. To samo da się powiedzieć i o polowaniach na podjazd lub podchodnego na rogacza, gdyż rodzaj ten polowania także do wyższych łowów zaliczać należy i Niemiec je także jako „die hohe Jagd“ uważa.

Mówmy teraz i o drobniejszej zwierzynie, strzelanej na naszych polowaniach z nagonką. Pominąwszy już tę przyjemność, jaką odczuwa myśliwy, gdy zwierzyna przez niego strzelana, do rozkładu się zalicza, pominąwszy tem większą przyjemność i korzyść gospodarza, im rozkład okazalszy, to przecież jest obowiązkiem wprost ludzkim starać się uchronić biedne zawsze stworzenie od długiej czasem i kilkodniowej agonii, a czasem i od sroższej o wiele głodowej śmierci. Na wielkich polowaniach zagranicami naszego kraju, gospodarz rozmaicie zobowiązuje swych gości do zgłaszania przez nich postrzelonej zwierzyny. Goście zgłaszają postrzałki u osobnego ad hoc przeznaczonego funkcyonaryusza, który zapisuje je w notatce pod numerem odnośnego stanowiska, bywa też i tak, że na każdem stanowisku ma myśliwy do dyspozycyi kilka drewnianych świeżo ostruganych kołków, które po miocie na tropie postrzałka w ziemię zatyka. Osobna straż leśna wraz z osobną nagonką i tropowcami szuka zwierzyny postrzelonej w przepolowanych miotach według powyżej uskutecznionych wskazówek, a rezultatem tego jest powiększenie nieraz znaczne pierwotnego rozkładu. U nas jest zwyczaj szukania zwierzyny nazajutrz po polowaniu, także dobry, zresztą często jedyny to sposób, jaki nam pozostaje.

Pod względem produkcyi i tresury tropowców przodują całemu światu Niemcy. Czytając sprawozdania z odbywanych tam często „field-trials'ów (t. j. prób, popisów polowych), nie możemy często oprzeć się zdziwieniu, do jakich fenomenalnych dochodzą tam rezultatów. Pies puszczony na trop postrzałka przez myśliwego, który dalej poluje, po odnalezieniu martwej zwierzyny, ma obowiązek w całkiem nieznanym dla niego terenie odnaleść i pana, i zaprowadzić go czasem już w kilka godzin później do leżącego daleko postrzałka. Zwykle pies znalazłszy zgubę uwiadamia swego pana o tem w dwojaki sposób: albo szczeka, siedząc nad zwierzyną i to jest rzadszy i bardzo ceniony przymiot; albo wraca do pana, by go do niej zaprowadzić. Jeżeli zaś pies postrzeloną zwierzynę ruszy, to dogania ją i dusi, jeżeli zaś jakiś czas bezskutecznie ją goni, to znak, że zwierzyna lekko ranioną była i prawdopodobnie wyzdrowieje, (mówię tu naturalnie o drobnej zwierzynie), i nie ma co za nią dłużej szukać.

W braku tropowca można każdego dobrego inteligentnego, już ułożonego wyżła tak wytresować, by w danym razie mógł pełnić służbę tamtego. Tresura taka, która

jest zresztą i tresurą tropowców, odbywa się w sposób następujący: Jeżeli chodzi o drobną zwierzynę, to ciągnie się zająca świeżo zabitego po ogrodzie między krzaki i gdzieś daleko się zostawia. Chwilę po tem prowadzi się psa na linewce na ślad. Pies zwietrzywszy, idzie już za nim, doprowadza się więc go do miejsca, gdzie zając leży i zniewala się go, by zająca aportował. Czynność tę powtarza się często, później już bez linewki. Wytresować psa do tropienia grubszej zwierzyny jest rzeczą o wiele trudniejszą. Bierze się wnętrzności z rogacza, wkłada się je do żelaznego rondla i zamyka się mocno drucianą siatką. W braku takiego można używać i worka, wrzuciwszy doń wnętrzności i kawał ołowiu, ale to sposób gorszy, bo chodzi tu o to, żeby przedmiot był tak ciężki, by pies go panu przynieść nie mógł, podczas gdy worek, choć ciężki, może pies wlec po śniegu. Rondel obraca się siatką na dół i ciągnie go się jak zająca po ziemi i gdzieś daleko się zostawia. Psa, który już pierwszy egzamin z zającem zdał dobrze, na trop wolno się puszcza. Ten przypadłszy do rondla, chce go w pysk brać i nieść do pana, gdy mu się jednak to nie udaje, siada i zaczyna szczekać, (wtedy już można mu dać złoty medal), albo wraca do pana. W pierwszym wypadku, który jest rzadki, idzie się do psa i tam go się pieszczotami (nie mięsem!) nagradza, w drugim zaś, t. j. gdy pies powraca, jest to właśnie chwila najtrudniejsza i najważniejsza w tresurze, trzeba psa zachęcić, by jeszcze raz idąc przed panem do rondla się zwrócił, woła się do niego „prowadź“ i wstrzymuje się słowem „nazad“, gdyż pies tak powinien iść, by pan jego za nim mógł zdążyć. Pies inteligentny prędko pojmie, o co chodzi — trzeba mieć tylko dużo cierpliwości, a pies gdy się nauczy, nie może wychodzić z praktyki. W czasach, gdzie polowań nie ma, strzelać można koty po polach i na nich psy jako tropowce zaprawiać.

Mam obecnie sukę legawą pointerkę, która jest doskonałym wyżłem i tropowcem zarazem. Jej zawdzięczam odnalezienie nie jednego postrzałka. Zeszłego lata postrzeliłem rogacza, a że suka była w domu, mogłem ją w dwie godzin dopiero na trop zaprowadzić. Nie upłynął kwandrans, gdy głośnem szczekaniem o znalezieniu rogacza mnie uwiadomiła.

Radzę wszystkim próbować tego sposobu tworzenia sobie domorosłych tropowców. Sposób to łatwy, nie kosztowny a ręczę, sowicie nieraz się opłaci.

Albert Mniszek.



O broni automatycznej.

Wszystkie ulepszenia broni myśliwskiej kulowej biorą swój początek z ulepszeń broni wojennej. W kołach wojskowych wre nieustanna praca w kierunku najwyższego wydoskonalenia ręcznej broni palnej, by uzyskać w ten sposób przewagę nad przeciwnikiem. Kwestya materyalna zaprzęga do tych wyścigów nietylko techników wojskowych, ale również największych fabrykantów i cywilnych inżynierów, gdyż tu sowitą nagroda czeka wynalazców.

Po wynalezieniu i wydoskonaleniu broni magazynowej, wynalazcy nie spoczęli na laurach, lecz zachęceni dotychczasowem powodzeniem wytężyli umysł nad dalszym postępem.

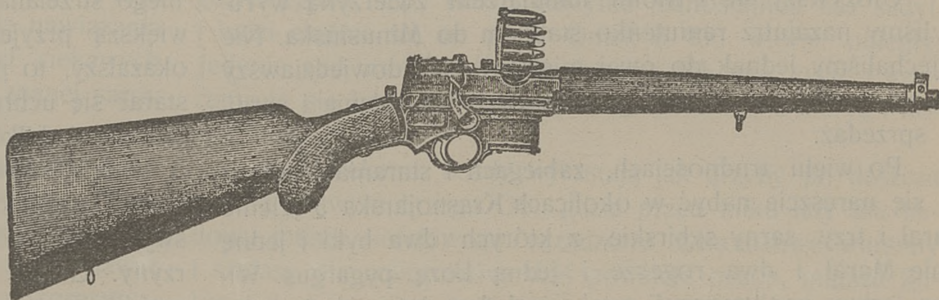
Pobudką do dalszych wydoskonaleń były trzy myśli zasadnicze:

1. Uzyskanie jeszcze większej szybkości strzałów,
2. ulżenie żołnieżowi w ciężkiej pracy repetowania*)
3. usunięcie silnego trącania u karabinów, obecnie w użyciu będących, które wielce się przyczynia do zmniejszenia celności strzałów.

Powzięto zamiar wyzyskać uderzenie wsteczne gazów do wykonania pracy otwierania i zamykania zamku, przyczem łuska wystrzelona wyrzuconą, a nowy nabój do lufy wsuniętym zostaje. — W ten sposób ujęto strzelającemu pracę równającą się przy 100 strzałach 2.500 kg. (zobacz uwagę *) i uwolniono go od denerwującego kopnięcia a nadto szybkość w strzelaniu zbliżono do ideału.

Takie myśli zasadnicze sprowadziły powstanie broni automatycznej.

Do rzędu broni automatycznej należą pistolety systemów: Kromar, Schenberger, Doruns, Mannlicher, Borchardt, Mauser, Bergmann, Roth, Schlögel-Milch, Luger,



Schwarzlose, Fromme, Bittner, Browning i t. d. — karabinki systemu: Hromar, Mannlicher, Colt, Cei, Naca, Odkalek, Maudry, Mauser, Bergman, Roth i t. p.

Wszystkie te systemy możnaby podzielić na 5 grup:

I. Grupa: Lufa wraz z zamkiem cofają się w strzale wstecz, lufa ujęta jest w ramę prowadzącą. Lufa cofając się ciągnie za sobą, połączony z nią zamek, po przebyciu pewnej przestrzeni uwalnia łącznik i sama się zatrzymuje. Uwolniony zamek cofa się dalej sam, przyczem uskutecznia się napięcie zamku i ściśnięcie spiralnej sprężyny, umieszczonej za zamkiem, która po wyrzuceniu wystrzelonej łuski zamek naprzód popycha, nowy nabój do lufy wprowadza, i cały system na pierwotne miejsce posuwa.

II. Grupa: Lufa jest w pewnem oddaleniu od zamku przedziurawioną. Od tego otworu prowadzi rurka wstecz. Zanim kula opuści lufę, pewna ilość gazów dostaje się rzeczoną lufą do zamku i tam siłą swą wykonuje funkcyę wyrzucenia łuski i wprowadzenia nowego naboju do lufy.

III. Grupa: Lufa jest stałą. Napór gazów popycha zamek wstecz a spiralna sprężyna napowrót go sprowadza, przyczem wykonuje się funkcya nabijania.

IV. Grupa: Zamek stały i zakończony masywną płytą (Stossplatte). Lufa posuwa się naprzód przez tarcie, spowodowane przeciskaniem się pocisku przez gwinty — ściska sprężynę i podczas cofania się na dawne miejsce wprowadza z magazynu nowy nabój.

*) Dla lepszego zrozumienia punktu 2 muszę dodać następujące wyjaśnienie.

Otóż do otworzenia zamku, obecnie używanego karabina, trzeba użyć siły 12 kg., do zamknięcia 13 kg., do złożenia się 4 kg. a do ściągnięcia cyngla 3·5 klg. razem 22·5 kg. Zatem żołnież strzeliwszy 100 razy wykonuje pracę 3.250 kg. a nadto otrzymuje od karabina 100 sporych kopnięć. To chyba nie przelewki.

V. Grupa: Lufa, rama (Gehäuse) i zamek cofają się w strzale razem, poczem zamek się odłącza, lufa zostaje wraz z ramą naprzód pchnięta, przyczem wylatuje łuska a następnie zamek podąża za lufą wprowadzając do niej nowy nabój.

Wszystkie systemy nie są jeszcze dojrzałymi a specyalnie nie są zdolne do wytrzymania ogromnego naporu gazów używanych dziś nabojów i nie wyszły jeszcze zwycięzko ze stadyum doświadczeń.

Próbowano już wielokrotnie zastosować te systemy do celów łowiectwa i były już w użyciu karabinki Bergmana i Mausera, ale sam ich wygląd niesmaczny odstręczał, a w działaniu na zwierzynę okazały się nieprzydatnemi. W ostatnich czasach wysunęły się na pierwszy plan karabinki Mannlichera i Rotha, które zewnętrzną formą nie rażą i w praktyce zadowalać mają, tylko naboje, do których są zastosowane, nie mają tej siły, by położyć naszego dzika lub jelenia. chyba najwyżej kozła.

Zdaje się jednak, że niedaleką jest chwila, w której nowa ta broń uzyska świadectwo dojrzałości i prawo obywatelstwa nietylko w armii ale i w kołach myśliwskich.

Lwów, dnia 22. grudnia 1903. *M. R.*



ALEKSANDER UBYSZ.

Sprawa ustawy łowiecklej w Sejmie zeszłorocznym.

W Nrze 7 i 14 *„Łowca“* z r. 1902 podaliśmy obszerniejszą relacyę o wniosku posła Żardeckiego w sprawie zmiany ustawy łowieckiej i poddaliśmy go krytyce.

W ciągu tegorocznej sesyi sejmowej wniosek ten przyszedł pod obrady Izby na podstawie sprawozdania komisyi administracyjnej, które tu w całości podajemy.

„Uchwałą Wysokiego Sejmu z dnia 27. czerwca 1902 przekazany został wniosek posła Żardeckiego z projektem ustawy łowieckiej komisyi administracyjnej do sprawozdania.

Przedewszystkiem należy zrobić uwagę, że nie jest dobrze zmieniać co parę lat istniejące ustawy, a że obecna ustawa łowiecka z 5. marca 1897 dz. u, kr. Nr. 71, która weszła w życie w marcu 1898, obowiązuje dopiero lat 5, trudno już dziś osądzić, jakie wydała rezultaty i czy zachodzi nieodzowna potrzeba zmian w drodze ustawodawczej.

Przedłożony projekt jest co do wielu postanowień równobrzmiący z obowiązującą ustawą i różni się głównie w dwóch działach a mianowicie co do sposobu wydzierżawiania polowań gminnych i do kart myśliwskich. W § 12. i konsekwentnie w następnych wnioskodawca postanawia, że „zwierzchność gminna przynależnego okręgu polowania gminnego zarządzi wydzierżawienie tego polowania przez publiczną licytacyę“.

Myśl ta nie jest nowa i znajdowała wyraz już w dawniejszych projektach, jednakowoż większość kom. adm. nie jest zdania, że taka zmiana byłaby korzystną. Wobec ciągłych skarg na przeciążenie gmin własnym i poruczonym zakresem działania, obarczenie tychże nowym obowiązkiem nie jest odpowiedniem. Wiadomo, że wiele gmin, osobliwie mniejszych, nie jest w możności należycie spełniać czynności, które dziś ustawy na nie wkładają, więc zwiększać ten zakres obowiązków nie jest na czasie. Brak należytych sił do przeprowadzania licytacyi sprowadziłby w wielu wypadkach uchylenie aktu licytacyjnego przez dotyczącą władzę a stąd opóźnienie wydzierżawienia i szkodliwa zwłoka. Faktem jest stwierdzonym, że czynsze dzierżawne za polowania gminne ciągle się podnoszą i w wielu okolicach objawia się silna konkurencya przy licytacyach a zachodzi obawa, że gdyby licytacye odbywały się po gminach, konkurencya byłaby mniejsza i z pewnością zjawiłoby się mniej licytantów w gminie, nieraz odległej, niż w Starostwie.

Wnioskodawca uchyla cały dział o kartach myśliwskich i certyfikatach. Nie powtarzając argumentów, które za wprowadzeniem kart myśliwskich były już wypowiedziane, podnieść należy, że we wszystkich krajach, w których ustawy łowieckie istnieją, takie karty są zaprowadzone, przyczyniają się do podniesienia kultury łowieckiej a nadto przynoszą funduszowi krajowemu dochód, który wynosi rocznie mniej więcej 24.000 koron. Nadto nie ma żadnego ważnego argumentu, którybyprzemawiał za zniesieniem tych kart.

W § 3. wprowadza poseł Żardecki na pozór mało znaczące postanowienie, że „prawo samodzielnego polowania przysługuje każdemu posiadaczowi ogrodów lub parków, znajdujących się przy domu mieszkalnym, bez względu na ich przestrzeń, jeżeli tylko naturalnem lub sztucznem ogrodzeniem są okolone“. W ten sposób obok uprawnionych do wykonywania polowania na podstawie posiadania samodzielnego terenu myśliwskiego lub też na podstawie wydzierżawienia okręgów polowania gminnego proponuje wnioskodawca cały szereg nowych uprawnień z tytułu posiadania przy domu chociażby najmniejszego kawałka ogrodzonego.

W ten sposób ile domów mieszkalnych, tyle w każdej gminie byłoby uprawnionych do polowania, a przy niemożności nadzoru rozszerzyłoby się kłusownictwo w niebywały sposób i zagroziło w zupełności kulturze łowieckiej. Dzisiejsza ustawa łowiecka w § 55. i innych broni posiadaczy ogrodów przed szkodami wyrządzanemi przez zwierzynę i zabezpiecza wynagrodzenie szkody, zatem poprawa w tym kierunku jest zbyteczna. Nadto musimy zwrócić uwagę, że w ustawach łowieckich w innych krajach austryackich takiego postanowienia, jak powyżej projektowane, nie znajdujemy, a jednak w krajach zachodnich są kosztowne winnice i znaczny dochód przynoszące ogrody owocowe.

Projektowana więc zmiana powyższego paragrafu dzisiejszej ustawy na pozór może nie bardzo znacząca, sprowadziłaby w następstwach zupełny upadek kultury łowieckiej.

Nie może Komisya administracyjna pominąć innych mniej zasadniczych zmian i tak: § 32. co do straży łowieckiej, uchyla przepis ustawy krajowej z 4. września 1892 Nr. 74. Dz. u. kr. dający chociaż do pewnego stopnia gwarancyę, że strażnik polowania musi być osobą ze wszech miar odpowiednią i na zaufanie zasługującą; § 35. znosi przepis zarządzający zupełne zamknięcie polowania w niektórych okręgach na pewien czas i dla pewnego rodzaju zwierzyny zagrożonej zupełnem wyniszczeniem; § 36. projektu uchyla postanowienie, że sprzedaż zwierzyny przez handlarzy odbywać się może tylko za okazaniem świadectwa jej pochodzenia; w § 38. projektu rozszerza wnioskodawca prawo chodzenia ze strzelbą po cudzym okręgu polowania i na osoby w myśl § 46. ustawy łowieckiej do zabijania pewnych szkodliwych zwierząt na własnym gruncie uprawnione; § 50. dzisiejszej ustawy zmienia nowy projekt w tym kierunku, że zwierzęta za szkodliwe uznane może chwytać nie tylko uprawniony do polowania, ale także każdy właściciel gruntu przy użyciu łapek i innych przyrządów samochwytnych.

Powyższe te projektowane postanowienia nie przyczynią się z pewnością do podniesienia łowiectwa, ani do unormowania stosunków z ustawą tą w związku będących, ale przeciwnie stanowczo wpłyną na zwiększenie kłusownictwa i na znaczne zmniejszenie się stanu zwierzyny łownej w naszym kraju.

Towarzystwo łowieckie, którego głos w tej sprawie nie jest obojętny, zaznacza w petycyi wniesionej do Wysokiego Sejmu w roku zeszłym, że na podstawie nowej ustawy łowiectwo się podniosło, stan zwierzyny wzrasta a natomiast poprawiły się stosunki co do tępienia szkodliwej zwierzyny i wynagrodzenia szkód. Skonstatować również należy, że skargi na szkody przez dziki wyrządzane się zmniejszyły od czasu wejścia w życie nowej ustawy i mniej petycyi w tym kierunku wpływa do Wysokiego Sejmu. Stanowczo można stwierdzić, że postanowienia dzisiejszej ustawy, jeżeli tylko przez władzę i uprawnione czynniki należycie są przestrzegane, dają możność tępienia dzików i skutecznej obrony przeciw szkodom.

Czy wobec tych okoliczności należy przyjść do Wysokiego Sejmu z projektem nowej ustawy — czy jest na czasie i na czyją korzyść ma być ta zmiana? Komisya administracyjna na podstawie powyższych wywodów odpowiada przecząco, przyznaje natomiast, że pewne modyfikacye byłyby dopuszczalne, które tak we wniosku p. Żardeckiego jak również w kołach interesowanych znajdują odgłos. Zmiany takie odnosiłyby się głównie do jaśniejszego określenia okręgów myśliwskich i do zmodyfikowania stanowczego zakazu polowania w niedziele i święta.

Z tych powodów nie wnosi Komisya administracyjna przejścia do porządku dziennego, ale z drugiej strony mając przekazaną całość wniosku p. Żardeckiego do sprawozdania, nie uważa za wskazane przyjść z propozycyą zmian paru paragrafów obowiązującej ustawy tem bardziej, że bliższe zbadanie tych stosunków w porozumieniu się z fachowemi kołami może tylko być korzystne.

Przytoczone okoliczności skłoniły do przedłożenia Wysokiemu Sejmowi wniosku *A)* odesłania do Wydziału krajowego.

Na podstawie faktów przytoczonych z rozmaitych stron kraju sądzi Komisya administracyjna, że c. k. Władze powinny energiczniej zastosowywać przepisy ustawy co do tępienia dzików, zaś w interesie łowiectwa przestrzegać, aby obowiązek posiadania karty myśliwskiej był ściślej wykonywany i dlatego proponuje rezolucyę *B)*.

Na podstawie powyższego sprawozdania Komisya administracyjna wnosi:

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

A) Wniosek posła Żardeckiego odsyła się Wydziałowi krajowemu do zbadania, czy nie zachodzi potrzeba zmian niektórych postanowień dziś obowiązującej ustawy łowieckiej.

B) Wzywa się c. k. Rząd:

1. aby ściśle przestrzegał postanowień dzisiejszej ustawy łowieckiej odnośnie do tępienia dzików i ochrony przeciw szkodom wyrządzanym przez dzikie zwierzęta;

2. aby przepis o kartach myśliwskich i certyfikatach był wykonywany.

W rozprawie zabrał pierwszy głos:

Poseł Mogilnicki (po rusku). Wysoka Izbo! Komisya administracyjna, jak widzę z jej sprawozdania, nieprzychylne zajęła stanowisko względem wniosku posła Żardeckiego i tow. o zmianę ustawy łowieckiej. Przedewszystkiem zaznacza komisya, że nie jest wskazanem, aby tak krótko istniejącą ustawę poddawać jakimś radykalnym zmianom.

Jednakże, jeżeli ustawa ta jest złą, to pięcioletnie jej trwanie nie może być przeszkodą do wprowadzenia nowej, lepszej ustawy.

Komisya administracyjna krytykuje wniosek posła Żardeckiego w tych ustępach, ale wniosek ten zdąża do radykalnych zmian, a mianowicie tam, gdzie wnioskodawca żąda, żeby prawo wydzierżawiania wykonywały gminy, a nie c. k. Starostwa i motywuje to tem, że gminy i tak są przeciążone i gdyby na nie ten ciężar jeszcze nałożono, nie byłyby w możności zadaniom swoim odpowiedzieć. Sądzę, że to niezupełnie słuszny pogląd, bo przez to agenda gminna albo całkiem, albo bardzo małoby się powiększyła. Z drugiej strony przemawia za tem także i to, że gmina ma ciągnąć z tego korzyści. Dotychczasowy sposób licytacyi polowania ma swoje dobre strony, ale ma także i złe. Jabym mógł cyfrowo przytoczyć przykłady, że prawo polowania oddawano nie temu, kto dawał większy czynsz, ale utrzymał się ten, kto dawał mniej, z czego widoczne, że broniono nie jedynie interesu uprawnionych, ale jeszcze innych względów.

Mówi komisya administracyjna, że innowacye, jakieby ten projekt wprowadził, zdążają w wielu wypadkach do upośledzenia kultury łowieckiej. Tej definicyi ja nie mogę zrozumieć, ale sądzę, że *„succus rei“* i esencya tu będzie w tem, coby Niemiec nazwał *„eine noble Passion“*. Można mówić o hodowli tych zwierząt, któreby przyniosły korzyść, a nie szkodliwych. Dowodem szkodliwości dotychczasowej ustawy jest wielka liczba petycyi, które w przeciągu owych pięciu lat wpłynęły i to, że na wszystkich wiecach polskich i ruskich sprawę tę podnoszono. Wprawdzie mówi komisya, że liczba petycyi się zmniejsza, ale to dla tego, iż petycye te nie mają żadnego skutku, a pisać dla pisania szkoda i czasu i roboty.

W licznych ustępach proponowany projekt zgodny jest z obecną ustawą, w innych pragnąłby on wprowadzić zmianę. Boi się komisya, że jeżeliby proponowana ustawa przeszła, to to, czego wnioskodawca domaga się, aby koło domu i zagrody wolno było każdemu polować, sprowa-

działoby za sobą zniszczenie całego stanu zwierzyny. Może być w tem coś (!) prawdy, ale z drugiej strony: *„qui iure suo utitur, nemini facit iniuriam“*. Mówi komisya, że gdzieindziej tego nie ma, ale u nas należałoby się kwestyę tę zbadać. — Powołuje się dalej komisya, że z kart myśliwskich było rocznego dochodu 24.000 koron.

Jest to racya, że ustawa łowiecka jest kwestyą bardzo trudną, bo dotyka takich żywotnych stosunków, których bez zastanowienia nie można urządzić. Jednakże ogólnie można powiedzieć, że taka ustawa, jaka jest dzisiaj, nie odpowiada potrzebom tych, których najbliżej dotyka.

To jest prawda niezbita, która znalazła swój wyraz na wszystkich wiecach ludowych tak polskich jak i ruskich, gdzie żalono się na dotychczasową ustawę łowiecką. Dla tego nie można z lekkim sercem powiedzieć, że projekt ten jest chybiony i żeby go odesłać do Wydziału krajowego na to, aby tam zastanowiono się, czy nie należałoby wprowadzić jakich zmian w obecnej ustawie, mnie się zdaje, że sprawa ta jest do tego stopnia piekącą, że należałoby się zaraz zastanowić nad tem, co tam jest chybionego i dlatego sprzeciwiam się, aby wezwanie to odesłane zostało do Wydziału krajowego, lecz byłbym za tem, aby wniosek posła Żardeckiego odesłać do osobnej komisyi, którejby poruczono zająć się tym projektem w porównaniu z ustawą obecnie obowiązującą i w tym duchu wnoszę rezolucyę.

(C. d. n.)

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

W tym razie tylko uszy mogą nam być pomocne. Nasłuchujemy. Słychać nowe ryki i trzask gałęzi, bo nosorożec biegnie wzdłuż brzegu jeziorka, na prawo od naszego stanowiska. Musimy działać, nie tracąc chwili. Decydujemy się wracać natychmiast na kopiec, bo zwierze teraz zwęszyć nas nie może, tylko musimy iść ostrożnie, po cichu. Idziemy już nie przez wodę, ale brzegiem, okrążamy jeziorko od lewej strony i wracamy na dawne stanowisko.

Wszystko to uskuteczniliśmy nadzwyczaj szybko, a czas był wielki, bo zaledwie znaleźliśmy się w naszej kryjówce, słyszymy stąpania nosorożca z drugiej strony jeziorka, tuż naprzeciw nas. Zwierz dopadł już do miejsca, gdzie ukrywaliśmy się poprzednio, jedna chwila opóźnienia, a bylibyśmy się z nim spotkali oko w oko.

Obserwuję nosorożca przez lunetę, widzę cień szary, przebiegajacy tu i ówdzie. Strzelać na taką odległość niepodobna, należy czekać.

Czekamy pół godziny i przechodzimy niepokoje, obawy, niecierpliwość i strach, wszystkie wrażenia, jakie myśliwy w tych warunkach przechodzić może. Sądząc po szybkości biegu, zwierz jest wściekły, przebiega z miejsca na miejsce, szuka, sapie i ryczy. Naraz wydaje ryk krótki, potężny, świszczący, ryk zwycięstwa, znalazł nasz trop.

Ludzie moi są przerażeni, szepczą: „to nie nosorożec, to *steamer*“ (wymawiać „stimer“.) I rzeczywiście, to nie zwierz, to jakaś piekielna machina, sycząca, świszcząca i bodząca, co pędzi po brzegu i nas szuka. W jego głowie powstaje całe mnóstwo złych zamiarów i knowań na nasze życie.

Obawiam się, aby zwierz nie napadł na nas od lewej strony. W dzień łatwiej się bronić, ale w nocy, na pustkowiu, gdzie nie masz ani schronienia, ani ucieczki, bawić się w chowanki z rozszalałym nosorożcem, mniej mi się uśmiecha, gdyż zabawa to wcale nie wesoła.

Naraz wrzawa z drugiej strony jeziorka cichnie, myślimy, że nosorożec już uszedł. Trwa to jakieś pół godziny; uważam już nasze nocne czaty za stracone, żałuję trudu i zimnej kąpieli. Gdy tak rozmyślam, naraz widzę jakąś ciemną masę, która zbliża się do nas po przeciwnej stronie jeziorka. Przyglądam się lepiej... to nosorożec.

Zbliża się truchcikiem, cicho, bez szelestu, wprost na nas. Gdybym nie znał dobrze obyczajów tego zwierza, przysiągłbym, że nas przez wodę widzi; ale całe jego spokojne zachowanie, głowa do góry podniesiona, świadczą, że zwierz nic nie wie o naszej obecności i poprostu przychodzi pić, bo mu się pić chce. Stanął nad brzegiem, o jakie 6 metrów przed nami, nasłuchuje i patrzy. W tej chwili jestem prawie pewny, że nas dostrzegł, trącam łokciem jednego z ludzi i szepczę mu:

— Widzi nas.

— Nie, nie, nic nie widzi, schodzi pić, niech pan zaczeka aż będzie na dole — szepcze mi do ucha.

Zwierz jest tuż u brzegu, w tej chwili uczuwa jakiś niepokój i odwraca głowę w tył, patrząc, czy mu nie grozi niebezpieczeństwo. W tym nagłym zwrocie widzę doskonale cały bok zwierza, jest dość jasno, reflektora nie trzeba, mierzę w łopatkę i z ekspresa walę aż dwa razy, słychać jak kule ze świstem lecą.

Odgłos strzałów cichnie, słychać tylko przyspieszony tętent w strony równiny, wszystko się oddala, a potem milknie.

Na naszym kopcu zaroiło się. Powstaje zwykła wymiana zdań:

— Może spudłowałem, albo zaledwie lekko raniłem?

— O, co to, to nie — twierdzą dzicy — dobrze dostał, ani pisnął, jutro znajdziemy go na pewno, może daleko, ale zawsze znajdziemy. Niech się tylko rozwidni.

Otóż to „jutro“, albo „niech się rozwidni“, jest czarną stroną zasadzek nocnych. Nie dość, że się człowiek zmęczy, zgorączkuje, jeszcze trzeba czekać rana, a godziny wloką się leniwie i nieznośnie długo.

Z pierwszym brzaskiem jutrzenki ruszamy w pogoń. Na tropie znajdujemy zrazu troszkę krwi, potem kawały krwi skrzepłej w niewielkich stosunkowo odstępach. Na taki widok „serce w człowieku skacze“, jak mówią tutejsi krajowcy; to niby zwycięstwo po naszej stronie.

O jakie 200 metrów od jeziorka nosorożec padł martwy, podwinąwszy wszystkie cztery nogi pod siebie.

Jest to ten wielki, gruboskórny nosorożec, o którym opowiadali co rana tropownicy, to wielka samica, uzbrojona w dwa przepyszne rogi.

Kule zrobiły swoje, jedna trafiła w serce, druga w płuca, obie przeszyły zwierza na wylot i zatrzymały się pod skórą, tworząc dwa guzy. Wszystkie kule, któremi zabijam najpiękniejsze okazy zwierza dzikiego, wyjmuję z ofiar i chowam na pamiątkę. Mam już sporą kolekcyę tych sławnych kul.

Biedaczki wszystkie pokiereszowane i spłaszczone, dla mnie tem droższe. Przyznaję, że ta kolekcya jest moją największą chlubą.

Każdy uśmiercony przezemnie nosorożec wnosi do obozu radość i szczęście, bo kotły napełniają się świeżem mięsem i uczta bywa obfita.

W dwa dni później, przy jeziorku północnem, stała się straszna fuszerka, nie do darowania. Lwy przychodzą dwa razy w nocy, raz po raz. Pierwszym razem strzelam do dwóch i pudłuję najfatalniej, drugim razem ta sama historya się powtarza Wracam do obozu, wściekły na siebie i wszystkich, bo pomyśleć sobie, że widziałem w nocy trzy lwy i wszystkie trzy spudłowałem, to rzecz nie do darowania. Główna wina w tem mego reflektora elektrycznego. Nie działa tak, jak potrzeba, majstrowałem coś około niego. ale okazuje się, że ze mnie żaden mechanik. Punkt świetlany nie zgadza się z celem karabinu i światło zawsze pada z boku. Decyduję się na krok ostateczny, odłączam reflektor od karabinu, umieszczając go na osobnej tyczce.

Tykę podczas polowania będzie trzymał jeden z moich ludzi i kierował reflektorem za zwierzem, stawiając go ciągle w pełnem oświetleniu. Zdaje mi się, że tym razem wpadłem na świetny pomysł; jakie będą rezultaty, przyszłość okaże. Tylko do licha, dlaczego nie wymyśliłem tego wcześniej?

Jednego z trzech lwów, do których strzelałem nocy ostatniej, lekko raniłem, tak mi się przynajmniej zdaje. Dwa pozostałe wrócą tu jeszcze napewno, ale kiedy? Gdzie je spotkamy? Ile nocy trzeba będzie stracić, zanim się zdarzy do tego sposobność? W ciągłych oczekiwaniach upływa tydzień, ludzie moi w rozpaczy. Mnie w tej chwili jest wszystko jedno, bo dostałem jakiejś gorączki, która mnie na trzy dni do łóżka przykuła.

Obóz nasz, jak już wspomniałem, leży nad brzegiem jeziorka. Zewsząd otacza nas wianek drzew wyniosłych, rozłożystych, rzucając cień na ziemię i osłaniając nas od palących promieni słonecznych. Dokoła obozowiska ciągnie się palisada z gałęzi i krzewów ciernistych, po za jej obrębem sterczą rozrzucone tu i owdzie szałasy służby.

Dnia 29. października przybywa kuryer z Europy, przywożąc nam listy i gazety z czterech miesięcy. Wieczorem zaś, podczas gdy Bertrand już spi w najlepsze, ja rozciągnąłem się wygodnie pod gołem niebem na matach (w porze suchej nie używam namiotu. ani łóżka), i odpoczywam. Nie rozbieram się jeszcze, lecz postawiwszy obok na wielkim kamieniu latarnię, odczytuję czerwcowy numer „Figara“.

Dokoła panuje cisza bezmierna, gdzieniegdzie miga płomień dogasającego ogniska, ludzie spią; może jest dziewiąta godzina, a księżyc już wypłynął i zalał całą okolicą zielonawym blaskiem.

Naraz Msiambiri, który kąpał się opodal, nadbiega cały zdyszany, zziajany i woła:

Pembéré, inrungo, pembéré (nosorożec, panie, nosorożec).

Zrywam się na równe nogi, gubiąc po drodze pantofle, przypinam ładownicę, porywam expres Nr. 1. Msiambri czyni to samo i w jakie pół minuty później posuwamy się cienistą granicą, popod drzewami ku jeziorku, spostrzegam cień jakiś szary, nieruchomy, na brzegu, ale daleko. Zostawiam Msiambirego w tyle a sam podchodzę w cieniu na jakie 20 metrów od zwierza.. Przyklękam i mierzę... niepodobieństwo strzelić, nic nie widzę. Przypadam do ziemi, czołgam się na rękach pośród trzcin nadbrzeżnych i zbliżam się na jakie 12 metr.

Zwierz zaczyna coś węszyć, może nawet w tej chwili mnie widzi, bo zniża łeb z rogiem ku ziemi.

Stoimy tak oko w oko, nie ma czasu do stracenia, celuję w piersi, palę z jednej z lufy i odrazu skaczę w bok, kryjąc się w wysokie trzciny. To całe moje szczęście, bo nosorożec atakuje miejsce, gdzie stałem poprzednio i skąd strzelałem. Słychać doskonale, jak stuka kopytami po kamienistym brzegu, sapiąc, poczem nagle zatrzymuje się, zawraca i drobnym truchtem umyka. Nie zdążyłem nawet strzelić po raz drugi. Jednak pewny jestem, że go raniłem pierwszą kulą, bo zaraz po strzale przestał sapać, jakby go coś zatknęło. Jutro dopiero przekonamy się o celności expresu.

Jakim sposobem nosorożec znalazł się tak blizko naszego obozu, nie zwęszywszy obecności trzydziestu ludzi? — pozostanie dla nas zagadką niewyjaśnioną. Jest to coś nadzwyczajnego, coś co się nie zgadza z obyczajami tego zwierzęcia. Może chciał napaść na nasz obóz i zniszczyć go?

W każdym razie można powiedzieć, że planik nosorożcowi się nie udał, nasz gruboskórny gość nie miał nosa, jak to mówią i przypłacił życiem swoje plany.

Nazajutrz z rana, ku wielkiej mojej radości, ludzie przynoszą mi wiadomość, że na nadbrzeżnych kamykach znaleźli ślady krwi. Przewidując, że wycieczka za nosorożcem potrwa długo, bierzemy z sobą zapasy żywności i wody. Zaledwie uszliśmy kawałek drogi, gdy Tszigallo zawołał:

— Otóż i on!

Zwracam się szybko w prawą stronę i widzę mego nosorożca, jak leży martwy, wyciągnięty Śmierć musiała nastąpić w kilka minut po wystrzale. Straszliwie pokaleczyłem zwierza! Nosorożec stał zwrócony do mnie przodem, choć strzelałem prawie na oślep, bo ciemno było, ale celnie. Kula przeszyła mu szczękę, ześliznęła się po skórze w szyję i przeszedłszy ją wzdłuż, zmiażdżyła górną część serca i płuc, zakreślając w swym pochodzie linię łukowatą, długości 75 centymetrów i dziurawiąc skórę w dwóch miejscach.

Ostatnim razem przeszyłem zwierza na wylot. Cóż mogę więcej wymagać od broni? Podaję więc tylko dwa fakty z licznych usług, jakie mi oddał expres N. 1.

Nosorożec, ubity przezemnie pod samym obozem był tym samym, którego ochrzciliśmy mianem „małego“, przychodził zwykle pić do jeziorka północnego. Niejedną noc strawiliśmy, czekając na niego, aż sposobność sama się nadarzyła. Chociaż rogi nosorożca są mniejsze od rogów samicy, niemniej jednak zdobyliśmy pyszny okaz, gdyż zaledwie o kilka centymetrów są mniejsze od poprzednich.

Zwierz padł w ślicznem otoczeniu: dokoła jak okiem sięgnąć, rozciąga się równina, gdzieniegdzie pokryta kępami traw i bukietami drzew „mistaganas“; na skraju horyzontu widnieje w mgle porannej pasmo pagórków. Pierwsze blaski wschodzącego słońca rzucają łagodne, różowe światło dokoła. Jest to jeden z tych nielicznych krajobrazów, jakie tylko widzieć można w Afryce środkowej. Obraz ten odtworzył mój aparat fotograficzny na wieczną rzeczy pamiątkę.

Po śmierci ostatniego nosożerca wszelkie polowania na gruboskórnych, jak mówią moi ludzie, „w łeb wzięły.“ I rzeczywiście w całej okolicy przebywały tylko dwa okazy i odtąd oddziały nasze, bobrując po okolicy, żadnych nowych śladów na znajdują.

Pozostają nam jednak lwy w liczbie pięciu, z których trzy nigdy nie dostaną się do mojej kolekcyi.

Wielkie jeziorko południowe cieszy się największem powodzeniem, tam zabiłem poprzednie moje ofiary. Nauczony doświadczeniem, urządzadzam nową zasadzkę nocną przy tymże jeziorku.

Towarzyszy mi jak zwykle, Tambarika i Msiambri. Noc księżycowa prześliczna, do godziny dwunastej, czy pierwszej nic nie widzimy; cicho, spokojnie, ani jeden listek nie zaszeleści. Zalegają potem ciemności, około trzeciej po północy zimno nie do opisania i ciemno jak w piekle. Naraz z dala słyszymy pomruki lwów. Widocznie gdzieś są na krwawej uczcie, a potem przyjdą pić.

(D. c. n.)

Korespondencye.

Dżuryn, dnia 23. grudnia 1903.

W dniu 21. grudnia w 8 strzelb polowaliśmy w Jakóbówce u p. Jakóba Siemiginowskiego — przezorny gospodarz zapraszając myśliwych i śnieg zamówił — który też spadł rzeczywiście, choć nie tak obfity, by wszystkie zajączki z pola do lasy spędzić. Pomimo tego w kilku godzinach znalazło się na rozkładzie 4 lisy, 2 rogacze i 50 zajęcy. Rezultat to ładny — lecz gdyby śniegu było więcej, zaręczam, że rozkład byłby prawie podwójny.

Od wielu lat tam poluję — w tem samem miłem i prawie idealnie dobranem kółku towarzyszy. Partyjka i wesoła pogadanka, gęsto urozmaicona dowcipami, anegdotkami, zakończyły ten dzień, który tak długo mile w pamięci wszystkich tkwić będzie, aż nasz kochany gospodarz znów na nowe gody ponownie zaprosi.

Przyjm miły Wuju słowa szczerej podzięki, które Ci w imieniu wszystkich składa wdzięczny siostrzeniec.

Lwów, 24. grudnia 1903.

Dnia 21. grudnia 1903 odbyło się polowanie w Staremsiole dobrach Excellencyi Romana Hrabiego Potockiego, zaczęliśmy o 11-tej, wzięliśmy 8 miotów, zabiliśmy 104 zajęcy, 18 rogaczy, 5 lisów.

W sprawozdaniu zeszłorocznym o polowaniu w Staremsiole zachęcałem do przecinania linijek 50 kroków długich przed stanowiskami, co zwłaszcza w gąszczach szpilkowych jest niezbędnem a na poparcie tego donoszę, że na 14 zajęcy i 2 rogacze, które zabiłem — zginęło 3 sztuki na głównej linii, resztę zabiłem na sznajsach — zresztą któż nie doświadczał przykrego uczucia, jeżeli stoi przed gąszczem, pokrytym okiścią śnieżną, jak przed parawanem — wiele lisów zawdzięcza życie tej okoliczności, że linijek nie było.

Dnia 24. grudnia 1903, polowaliśmy w Barszczowicach, dobrach należących do ordynacyi Hr. Siemieńskiego — w 7 strzelb zabiliśmy 39 zajęcy, 6 rogaczy, 3 lisy.

W tym roku jest ogółem mniej zajęcy jak w zeszłym, co potwierdzą sprawozdania z licznych polowań, które się teraz odbywają.

Teofil Żurowski.

Lwów dnia 24 grudnia 1903.

Jadąc na polowanie do Tadań obok Kamionki strumiłowej, z góry wiedzieliśmy o tem, że czekają nas tam niezwykłe roskosze myśliwskie, gdyż nie zawodzi knieja, której właściciel o zwierzynę dba i karmi ją obficie, a drapieżnika ściga niemiłosiernie. Odkąd Tadanie przeszły w ręce p. Józefa Bartmańskiego weszło tamtejsze łowiectwo na nowe tory, stan sarn podniósł się znakomicie, wprowadzono bażanty, których chów pozwala rokować piękną przyszłość, a w jesieni pada kilkaset kuropatw. Na każdym kroku odczuwa się troskliwą rękę myśliwego, który otacza zwierzynę czujną opieką.

Polowanie w dniach 22 i 23 grudnia dało rezultat prawdziwie piękny.

Niezbyt liczną była drużyna myśliwska, gdyż w pierwszym dniu polowano w 11, a w drugim w 10 strzelb, a mimo to na rozkładzie mieliśmy 17 rogaczy, 2 lisy, 180 zajęcy i cietrzewia. Prócz zgładzonej ze świata lisiej pary widziano jeszcze tylko jednego lisa, co świadczy, że tępią go tam bez litości. Do bażantów nie strzelano. Śliczny był widok, gdy grupę sosen obsiadło stado złożone z przeszło 20 cietrzewi nadsłuchujących, z której strony zbliża się niebezpieczeństwo. W czasie przedświątecznym przypominało się Boże drzewko, na którem w miejsce świeczek sterczały wyciągnięte szyje tych czujnych i pięknych ptaków.

Stosunek strzałów nazwać można korzystnym; prawie sztuka na dwa strzały.

Wywieźliśmy z Tadań najmilsze wspomnienia i szczerze jesteśmy wdzięczni gospodarzowi za gościnne i świetne przyjęcie, a tak pomyślny rezultat tegorocznych łowów da p. Bartmańskiemu to miłe przeświadczenie, że praca jego nie poszła na marne i że troska około podniesienia zwierzostanu zawsze wydaje stokrotne plony.

Dr. A. Łoziński.

Pieniaki, 28. grudnia 1903.

Jako delegat zaleszczycki — donoszą, że i na Podolu zauważałem znacznie zmniejszony stan zajęcy w roku bieżącym. Natomiast dziki dość znacznie rozmnożyły się a to wskutek zim bezśnieżnych, gdyż trudniej z rezultatem polować a łatwiej dzikom wyżywiać się.

Polowano w 5 strzelb w Drohiczówce, dnia 14. listopada b. r. padło 4 dziki, 5 lisów, 3 kozły z rogami jeszcze i 14 zajęcy. Gdyby można było tropić dziki, byłby niezawodnie lepszy rezultat.

W Pieniakach polowano od 14—18 b. m. bez śniegu w strzelb od 7—10, padło 3 dziki, 28 lisów, 14 kozłów, 80 zajęcy. Z tego wspaniały odyniec wagi 235 kgr. z bardzo pięknymi kłami i szablami. Dzików widywano wiele, ale nieotropione uchodziły przed linią strzelców. Natomiast lisom udawało się, gdyż oczekując dzików, nie strzelano do lisów i tak w jednym miocie przeszło 8 lisów niestrzelanych przez linię. Przytem gruda tak utrudniała dostanie się do lasu, że w dalszych rewirach wcale polować nie można było.

Romanów, 28. grudnia 1903.

Zdając sprawę ze stanu zwierzyny w r. b. w okolicy tutejszej, podnieść muszę, że stan sarn stale co roku się zwiększa, zauważono jednak, że sarny, które więcej w polach przebywają, cierpią na rozwolnienie, wskutek czego wyglądają mniej estetycznie, a rogacze niektóre do tej pory rogów nie zrzuciły. Zajęcy w tym roku znacznie mniej jak w roku zeszłym, nawet w kniejach, które nie były w r. z. opolowane. Lisów natomiast znów więcej, po pogromie

wścieklizny przed dwoma laty w tym roku wypadków tej jedynie pożytecznej epidemii nie zauważano.

Kuropatw w tem roku mniej niż w zeszłym roku, a wśród lasów prawie wyginęły, lub spotykano w jesieni parkami stare.

Słonek natomiast mieliśmy tej jesieni ciąg wspaniały, ubito w jednym rewirze na buszówkę z psami przeszło 60 sztuk.

W „Łowcu“ Nr. 23. jeden z szanownych korespondentów, unosi się w pochwałach dla straży leśnej, złożonej przeważnie z Niemców, twierdząc dalej, że tak prowadzone polowania widzieć można chyba tam, gdzie Niemcy lub Czesi stworzyli straż leśną, a nasz Iwan ani Bartek nie mają pojęcia i nie potrafią prowadzić racyonalnie ochrony i pielęgnacyi zwierzyny.

Co do tego muszę zaprotestować, pomijając względy patryotyczne. Widziałem straż leśną i łowiecką za granicą i prowadzenie polowania tamże. Mam dziś powierzony zarząd lasów i łowiectwa od przeszło 20 lat w kraju, a obecnie i w Rosyi, muszę jednak tu oddać sprawiedliwość i oświadczyć, że tak znakomitego materyału na straż lasową i łowiecką jak w okolicy tutejszej, za nędzne wynagrodzenie nigdzie nie spotkałem. Trzeba sobie tylko ludzi dobrać, a następnie umieć ich wykształcić.

Ad. Madeyski.

Żyrawa, dnia 29. grudnia 1903.

W dniu Bożego Narodzenia w polowaniu z pogonką, brałem czynny udział i przyznaję się sam, że wszystkich „Sontagsjägerów“ pewno zakasowałem, bo będąc na folwarku na kontroli w stajniach, otrzymuję wiadomość, że rogacz pasie się na gazonie przed domem. Pospieszyłem zaraz, by oglądnąć to ciekawe stworzenie, dla którego lasy są już za ciasne. Dodać muszę przytem, że cały folwark zmuszony byłem opasać dwumetrowej wysokości ostrokołem i sztachetami, bo chyba tylu poczciwych ludzi nigdzie nie masz jak moi, którzy z poczciwego serca dzielą się moją własnością na połowę, tak, że deskę, drabinę, rzemyk kawałek żelaza z pod zamknięcia nawet umią jakiemiś magnesami wyciągać. Ale wróćmy do rogacza, który tylko bramą musiał wejść, a że mu się to podobało, więc o odwrocie ani myślał. Będąc w obawie o rogacza, by mu psy kurty nie skroiły, otworzyłem jedną z bocznych bram, tu stanąłem na 10 kroków za świerkiem, a posłanych kilku chłopców wolno rogacza goniło. Mój punkt obserwacyjny był doskonały, bo go widziałem jak wolnym tempem szedł po pod sztachety a natrafiwszy na bramę otwartą wybiegł na pola i długo go widziałem, jak przystawał, oglądał się, jakby miał zamiar jeszcze kiedy wrócić.

W listopadzie na pierwszej ponowie miałem podobną niespodziankę, bo wstawszy dodnia zobaczyłem przez okno przy świetle latarni cudzego psa, to też w mgnieniu oka zapytałem go ołowiem, skąd rodem. Skutki tegoż wizyty okazały się po dniu, bo służba złapała rogacza w klombie przy stajni mocno pokaleczonego. Niestety mam w sąsiednich wsiach kilku takich czworonożnych kłusowników, ale mam nadzieję, że ten był już może jeden z ostatnich.

W lecie w sierpniu będąc na koniu w polu przy robocie, usłyszałem trzykrotny świst. W pierwszej chwili myślałem, że to moi pastuchy, ale grubo się omyliłem, gdyż był to rozpaczliwy krzyk sarniątka, które rozdarł taki czworonożny kłusownik. W mig byłem w domu, zabrałem strzelbę i na koniu nazad do lasu. Psa postrzeliłem a później pirszowałem za nim po zrębie. Pies jednak zaczął salwować się ucieczką przez pola. Co to za jazda była, to chyba koń tylko pamięta, bo do ciemnej nocy najprzód po moich polach, a później po chłopskich zagonach.

Ażeby się stało zadość staremu przysłowiu o trzech dobrych rzeczach, to pozwolę sobie nadmienić przygodę jeszcze i trzeciego rogacza, która mi na myśl nasuwa asekuracyę robotników od wypadków, kasę chorych, które są dobre dla fabryk, ale nie dla nas, jednakowoż jest paragraf, obszarnik ma zapłacić i kwita. Polowaliśmy wśród licznych pudeł w cztery strzelby, szukając za lisią skórą, bo w zimie nigdy rogaczy w kniei nie strzelam, gdyż zostawiam tę zabawę na letni podchód.

W jednym z miotów wychodząca pogonka raportuje mi na linii, że „Fedia cap zabyw, ani uże drygaje, ciłkom zymnyj.“ Był to raport wcale przyjemny, ale, że ludzi naszych znam, więc zacząłem się sam pocieszać, że to wskutek uderzenia silne omdlenie. W tej chwili posyłam ludzi i wóz, by nieboszczyka z lasu zabrać do domu, polecając im zaraz o dwa kilometry doktora.

Tak się i stało, po kilometrowym spacerku leżący nieboszczyk na wozie otwiera oczy ku wielkiemu zdziwieniu swych towarzyszy z zapytaniem, co się znim stało? A gdy całkiem oprzytomniał, kazał stanąć, przy pomocy ludzi z wozu wysiadł, usiadł na rowie bardzo obrażony, bo z wyrzutami dla swej przybocznej straży: „A jakij by to buw wstyd szczoby mene wojskowoho czołowika do żinky wozom wezły, taż by sia ona śmijała, szczo z mene kiepskij wojak, koły mene durnyj cap zabyw“. Przyznam się, że z tego wyniku ja byłem najwięcej uradowanym, bo asekuracya do obszarnika zabierać się nie będzie, a przyznam się wszystkim, że pogonki asekurowanej od wypadków jeszcze nie mam.

Witold Czajkowski.

Olejów, 29. grudnia 1903.

Często się słyszy „zabiłem odyńca“, lub „pan ten, lub ów zabił odyńca“. Pytam wtedy zawsze, wiele mógł ważyć, odpowiadają zwykle 100 kgr., 120, ba nawet 125 i 150 kg. — niestety to są wszystko jeszcze wycinki. W prawdziwem znaczeniu tego słowa odyńców już prawie nie ma. Odkąd poluję, widziałem tylko kilka prawdziwych odyńców zabitych, takich jakie ojcowie nasi strzelali, a śmiało mogę powiedzieć, że do 300 dzików widziałem na rozkładzie. Lecz tylko tych kilka mogę obwieścić nazwą prawdziwych odyńców. Odyńcem nazywam dzika ważącego około 200 kg. a kły jego widziane są z daleka, gdy idzie na myśliwego, bieleją one jak rogi nosorożca i ryj takiego dzika dziwnie pyrkatym się wydaje, gdyż taka bestya pyska już zamknąć nie może. to też wychodzi on zawsze z otwartą paszczą, a wargi są wzniesione przez kły wystające do góry.

Takiego wielkozwierza położyć, a nawet zobaczyć w lesie jest przyjemnością nie do opisania, z zachwytem tylko opowiadać może o tem prawdziwy myśliwy i takie wrażenie nie prędko da się zatrzeć w pamięci.

W mojej okolicy nie było już dzików zupełnie od lat kilka, wybite zostały, a dzik do legendy należał, tam gdzie przed dwudziestu laty powszednim zwierzem był. Dopiero przed pięciu laty przybyło kilka i otoczone staranną opieką p. Tadeusza Cieńskiego w Pieniakach nieco się rozmnożyły, tak, że dziś stan ich do kilkudziesięciu sztuk liczyć można.

W połowie grudnia tamże na polowaniu wyszedł na mego sąsiada dzik potwór, przyszedł cicho, a gdy zobaczył myśliwego skoczył, zdawało się, że góra, pod którą stałem wraz z drzewostanem wali się na mnie, tak oznaj-

miał swe przyjście król tych lasów. Sąsiad mój stał na samym zbyrze góry, ja zaś na samym dole, na stromej uboczy. W tej chwili pada strzał. Gdym w przerażeniu popatrzył w stronę tego trzęsienia się ziemi, okazał mi się widok straszny i wspaniały zarazem. Kolosalnych rozmiarów dzik z otwartą paszczą, świecącą czterema białymi kłami walił na mnie na sztych z góry brzegiem linii i lasu, całym impetem najwyższym rozpędzonej maszyny. Jest już odemnie na trzydzieści, dwadzieścia, piętnaście kroków czuję, że mnie roztratuje, a strzelić do niego w tym impecie nie mogę, bo czuję, że go muszę chybić, nawet tych rozmiarów dzika, więc trzeba mu się ustąpić, aby mógł skierować na połeć. Gdym myśl tę powziął, która także niebardzo wykonalną była, bo na śliskiej, nieco śniegiem okrytej ziemi na znacznej uboczy, ruch szybki nie mógłby być zrobiony spokojnie, aby potem strzelić do dzika spokojnie. Lecz na szczęście, gdy dzik o dziesięć kroków był odemnie, pośliznął się i czując, że nadal nie zdoła w tym impecie pędzić dalej, zmienił kierunek i z tą samą szybkością przeszedł linią na poprzek. Wówczas strzeliłem. Potwór za linią zaraz zwolnił biegu i stanął dęba. I znowu zdawało się, że wali się góra wraz z lasem. Popatrzyłem za nim, leżał gniotąc i łamiąc drzewa swoim ciężarem, dwa razy stęknął i zginął olbrzym.

Teraz dopiero przyszła mi myśl przykra, że ja tylko dobiłem dzika, gdyż mój sąsiad strzelił do niego pierwej i że jemu to wspaniałe zwierzę się należy. Lecz na szczęście myśl ta nie trwała długo, bo miot się już skończył, to też w krótce zapytałem go po wyjściu z nagonki, czem strzelał, bo widząc, że miał büxflintę, przypuszczałem, że się mógł pomylić i strzelił śrótem a nie kulą. Lecz, o szczęście! zawołał na mnie, że mu ładunek expresowy zawiódł i że strzelał śrótem. Z jaką radością usłyszałem te słowa, bo choć leżącego dzika jeszcze nie widziałem z bliska, wiedziałem, żem zabił zwierzę niezwykłych rozmiarów, takie majestatyczne wrażenia zrobił na mnie ten kolos pędzący z góry z paszczą otwartą ozdobioną wieńcem białych kłów. I rzeczywiście, gdyśmy do niego przyszli, zabity nie zmniejszył wrażenia ogromnej sztuki, lecz jeszcze wspanialszym się wydawał. Patrząc na niego z przyjemnością skonstatowałem, że wśród 40-tu dzików zabitych przezemnie ani jednego nie było takiego, ani w przybliżeniu. Kły przepyszne tak górne i dolne ogromnej grubości, jeden z nich dolny wrośnięty w szczękę górną, drugi wystający powyżej niej. Ważył 235 klg., pomimo, że był chudy. Jedno oko miał wybite, nie wiadomo czy strzałem, czy w śród walk miłosnych, które już długie lata staczać musiał, gdyż ten dzik miał najmniej lat 10. Skąd przyszedł na ten kraniec lasów tego wiedzieć nie można, że przyszedł to pewnem, bo tu przed laty dziesięciu dzik do legendy należał. Był jednak za stary, by się tu wychował. Przyszedł więc i został, poznawszy, jaki spokój panuje w lasach pieniackiej kniei i jaką opieką otacza dzisiejszy właściciel rzeszę dziką.

Wspaniały ten okaz jest jednym z najpiękniejszych, jakie w ogóle widziałem, co potwierdza, że leżąc nie zrobił mniejszego wrażenia, bo każden przyzna, że idący dzik zawsze się dużym wydaje, a często po zabiciu rozczarowuje myśliwego co do swej wielkości. Był to zaiste ten olbrzym, którego straż leśnia mianem lustratora lasów pieniackich ochrzciła.

Aleksander Wodzicki.

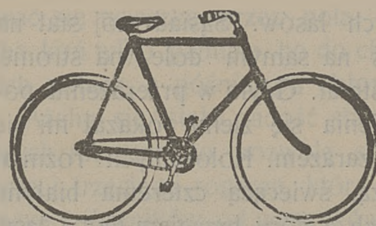


Drobne ogłoszenia.

Kupuje wszelkiego rodzaju zwierzynę, bez różnicy pory

zające	sztuka złr.	1·—
rogacze	kilogram „	—·40
dziki warchlaki od 15 kilo do 35 kilo	„	—·25 kilo
dziki średnie „ 35 „ 45	„	—·20 „
dziki duże „ 45 „ wyżej	„	—·10 „
bażanty	sztuka „	1·20
jarząbki	„ „	—·90
słonki	„ „	—·90
kuropatwy	„ „	—·55
kaczki dzikie	„ „	—·50

Michał Krzywda pasaż Andriollego, Rynek 29.



Rowery
z pierwszorzędnych fabryk krajowych i zagranicznych, odznaczają się nadzwyczajną trwałością i lekkim chodem.

Rowery
z motorem „Republic“, znacznie ulepszone, o sile $1^1/_4$—3 HP. od 850 - 1350 K.

Latarnie acetylenowe do rowerów i powozów, całkiem bezpieczne, pod gwarancyą od 7—50 Kor.

i **LAWN TENIS** poleca najtańszy handel towarów sportowych

Władysława Łukasiewicza

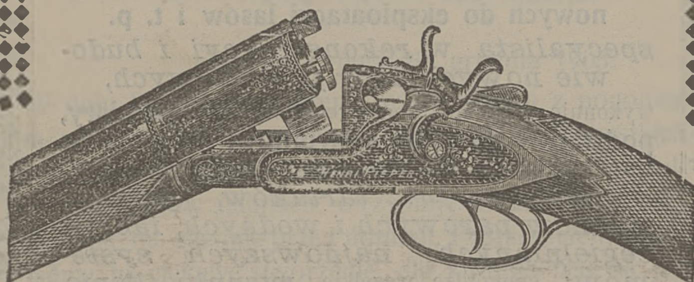
LWÓW, AKADEMICKA 26.

Prospekty bezpłatnie. Prospekty bezpłatnie.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



→ Główny magazyn i fabryka ←

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylówki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety, floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemnicj

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Jedyny rzeczywisty import herbaty!

Handel herbaty chińskiej

Edmunda Riedla

we Lwowie, ulica Teatralna liczba 3.

(druga kamienica od placu Maryackiego)

poleca

HERBATĘ

zbioru majowego bezpośrednio z Chin sprowadzoną, ciemno naciągającą, z wybornym smakiem i aromatyczną wonią,

½ kilo:

Congo czarna	1 Nr	1·60
Souchong czarna	2 „	2·—
„ „ zbiór majowy	3 „	3·—
Kaysow czarna	4 „	4·—
Melange de Londres	5 „	4·—
Pecco kwiatowej	6 „	3·—
„ „ karawanowej	7 „	4·—
„ „ najprzedniej	8 „	6·—
Gunpowder ziel. perłowa	9 „	3·—
„ „ „	10 „	4·—
Wysiewki herbaciane		1·30
„ „ z najlep. herbat		1·00

poleca najlepsze gatunki

KAWY

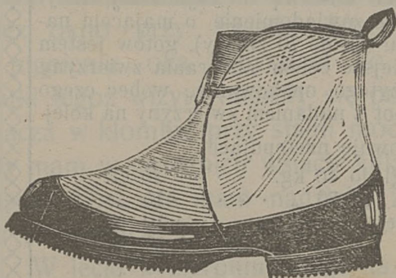
o smaku czystym i aromatycznym

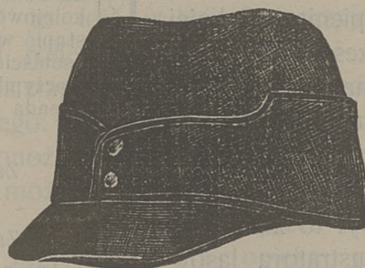
które rozsyla franco, opłacone do każdej stacyi pocztowej $4^3/_4$ kilo w woreczku:

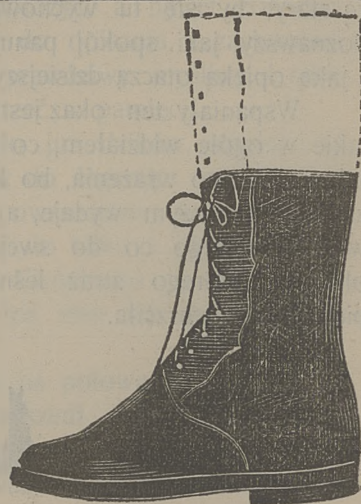
		½ kl.
Jamajka	7·—	—·70
Santos	7·50	„ —·80
Portorico	8·85	„ —·96
Cuba grubo ziarnista	9·20	„ —·90
Ceylon zielona	9·50	„ 1·—
„ „ przednia	10·—	„ 1·04
„ „ grubo ziarnista	10·50	„ 1·08
„ „ perłowa	10·50	„ 1·08
Mocca arabska aromatyczna	10·50	„ 1·08
Jawa złota	10·50	„ 1·08

Ceny herbaty oznacza się na ½ kilo w paczkach po ½, ¼, ⅛ kg.

Opakowanie nie liczy się. — Zamówienia z prowincyi wysyła się odwrotną pocztą







Kapelusze, czapki, buty i berlacze do polowania, kalosze. Pończochy i rękawiczki

poleca

KAZIMIERZ BIELCZYK

Lwów, ulica Halicka l. 21.

Cennik illustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**